

Rozmowa z Anną Dymną, aktorką Teatru Starego

Nie wszystko na sprzedaż

Kiedy dzwoniłam prosząc o rozmowę, powiedziała pani — zgoda, ale nie będziemy mówili o mężach czy wypadkach, tylko o mojej pracy...

Od razu więc wyjaśniłam, że nie należę do tych aktorów, którzy twierdzą, że widzowie powinni ich znać tylko z ról. Wiem, że w pewnym sensie jesteśmy własnością widzów, że ludziom potrzebny jest mit wielkiego aktora czy szczęśliwej aktorki, jak i odarcie tegoż mitu. Wiem też, że ludzie i tak wiedzą o mnie więcej niż ja sama, i tak będą mówili co zechcą. Dobrze więc, gdy od czasu do czasu usłyszą coś bezpośrednio z moich ust. Dlatego zgodziłam się wziąć udział w programie krakowskiej telewizji, bardzo intymnym, dotyczącym

mojego życia prywatnego, choć nie ukrywam, że taki ekszhibicjonizm przed kamerami wiele mnie kosztował. Namnożyło się jednak w ostatnich latach najróżniejszych pism typu „Twój biust”, „Twoja pupa” i przychodzą pańcice, które chcą tylko wiedzieć czy wolę kisiel czy budyń, jak robię kluski i co mam w szafie. A to jest bezmyślne, głupie i ja tego nie cierpię. No i odmawiam albo żądam pieniędzy. Oczywiście, aktorzy, a raczej aktorki same sobie na taki typ wywiadów zasłużyły tę straszną manią pisania książek o sobie, gdzie jednakowo ważna jest rola, nowe buty, urodzenie dziecka czy pryszcz na nosie... Ja nigdy takiej książki o sobie nie napiszę, bo miałam zbyt dramatyczne życie. A nie opłaca się swego życia rzucać na bruk, bo od razu staje się ono jakby mniej ważne, bo nie wszystko jest na sprzedaż!

Poza tym, że na moje nazwisko pracowałam nie tylko ja sama. Pracowali na tę Dymną bowiem najwięksi polscy reżyserzy, a także moi koledzy w teatrze, i to dzięki nim wszystkim jestem osobą znaną. Dlatego też może nie mam prawa reklamować teraz proszku do prania czy do mycia sedesów.

Uważa pani, że aktorzy nie powinni brać udziału w reklamach?

Uważam, że dopóki mogę zarobić pieniądze w teatrze czy filmie, to mi tego robić nie wolno. Dlatego właśnie, że jestem w Starym Teatrze, że to jednak do czegoś zobowiązuje. Tyle lat i tak ciężko pracuje się na swój wize-

runek w oczach widzów, na swoją pozycję, że nie można tego sprzedać reklamując mleko, co mi ostatnio zaproponowała jedna z firm austriackich. Choć nie sądzę, aby ktoś miał o to do mnie pretensję. To tylko ja miałabym pretensję do siebie.

Ze swoją pozycją znakomitej i wziętej aktorki, jest pani jednak w znacznie lepszej sytuacji od bardzo wielu aktorów, którzy nie mają teraz pracy w teatrze, nie otrzymują też propozycji z filmu czy telewizji.

Ależ oczywiście, powiedziałabym nawet, że jestem w niezwykle szczęśliwej sytuacji. Dlatego podkreślam, iż nie mam nic przeciwko kolegom, którzy w ten sposób zarabiają. Wszystko, o czym mówię dotyczy tylko mnie samej.

W 1990 r. w krakowskim Teatrze im. Słowackiego, w „Weselu” reżyserowanym przez Lidię Zamkową, w roli Isi wystąpiła młodzieńca studentka I roku PWST, Anna Dziadyk. Mija zatem 25 lat od tej scenicznej debiutu. Jak z tej perspektywy czasu ocenia pani swoje życie zawodowe, teraz, kiedy jest pani kobietą dojrzałą?

Widzę je podzielone wyraźnie na dwie części. Jedną, do urodzenia dziecka, kiedy to długo, może zbyt długo wyglądałam jak dziewczynka. I choć grałam w teatrze coraz ciekawsze role, ro recenzenci nadal pisywali, że Dymna wyglądała prześlicznie i wdzięcznie poruszała się na scenie. I drugą, kiedy mając 34 lata urodziłam syna i wróciłam zupełnie odmieniona, bo przytyłam 32 kilogramy. Najbardziej zaszokowałam tym swoich widzów. Ich Dymna była taka wiotka, śliczna, dziewczęca, a tu nagle wszedł na scenę hipopotam. Czy można się dziwić, że protestowali? Na szczęście w teatrze nikt się mnie nie wyparł, jakoś mieściłam się na scenie, choć — jak mówię — drzwi wyjęli. Ogromnie pomógł mi wówczas Kazimierz Kutz, powiedział: „no, nareszcie masz dupę, cyce, jesteś prawdziwa baba” i dał mi świetną rolę.

Zmiana warunków zagrała wyraźnie na pani korzyść. Ostatnie lata zaowocowały wspaniałymi rolami, od pamiętnej Małgorzaty w „Mistrzu i Małgorzacie” w reżyserii Macieja Wojtyłki, po wysoko ocenioną i nagrodzoną rolę w filmie „Tyłko strach” Barbary Sass.

Widzowie zafascynowani zostali nie tylko zmianą warunków fizycznych...

Tak, to był także przełom w mojej psychice. Wprawdzie jeszcze przed urodzeniem dziecka zagrałam w sztuce „Żaloba przystoi Elektrze”, gdzie poza wyglądem trzeba było prezentować zupełnie inne wartości, jednak dopiero w tej drugiej części scenicznego ży-

jeden z tych reżyserów, dla których warto być w Starym Teatrze. W roli głównej wystąpi Jurek Trella, na co się bardzo cieszę, bo zawsze lubię patrzeć jak on gra. Wie pani jakie to szczęście być aktorką w takim teatrze?

Stale podkreśla pani rolę teatru w swoim życiu, a przecież autentyczną, ogromną popularność przyniósł pani film, poczynając



Anna Dymna

Fot. PAT

cia mogłam myśleć o nowych, niesłychanie interesujących rolach. Dojrzałam do nich. W Krakowie mam już swoją pozycję, trochę jak smok wawelski, od kwaciarek na Rynku dostaję wspaniałe bukiety, jestem ich aktorką. I tylko drobne 25 lat na to pracowałam...

A co przygotowuje pani teraz w teatrze?

Zaczęliśmy próby ukraińskiej sztuki „Reformator” Mykoły Kulisza, gdzie mam piękną rolę do zagrania. Reżyseruje Rudolf Ziolo,

od serialu o Janosiku, „Znachora”, od roli Barbary Radziwiłówny po „Nie ma mocnych” i „Kochaj albo rzuć”. Zagrała pani ponad 50 filmowych ról. Czy pani tego nie docenia?

Ależ ja doceniam popularność, jaką dał mi film. Tylko zawsze wiedziałam, że ona może mnie zwiędzić. Popularność bowiem przychodzi i odchodzi falami, czasem bywa niezastąpiona i nie zawsze świadczy o wielkości aktora. Już jako młodzieńca aktorka wiedziałam, że najważniejszy dla

A w Krakowie edaż

mnie jest teatr i świadomie rezygnowałam z wielu nęcących filmowych ról, by zapewnić sobie własne, stałe miejsce w teatrze, co teraz dyskontuję.

A skąd pani o tym wiedziała?

W życiu zawodowe wprowadzali mnie bowiem tacy nauczyciele, jak Lidia Zamkow, Wajda, Grzegorzewski, Jarocki, a przede wszystkim kim Swinarski, który utwierdził mnie w tym, co instynktownie przeczuwałam, iż bez miłości do teatru nie ma co robić w tym zawodzie. A film? Aktorka może zagrać w młodości wiele ról, a po latach nikt już nie będzie o niej pamiętał. A poza tym ja miałam przy swoim boku męża, Wiesia Dymnego, który sam był artystą niezwykłym, i dzięki niemu nigdy nie czułam się gwiazdą filmową.

Chcę być nie panią w adreksilu publiczności...

...pewnie wtedy, kiedy sobie na to nie zasługiwałam. Prawdę mówiąc nie miałam też charakteru gwiazdy. Wychowana byłam raczej na anty-gwiazdę, nieśmiałą, skromną i okropnie pracowitą, taką, co to wszystko musi zrobić swoimi rękami. A Wiesio to jeszcze we mnie utwierdzał. I miał rację.

Spotkać panią można teraz w warszawskiej wytwórni filmowej, na planie „Damy Kamellowej”. Co pani gra?

Gram Prudencję, a tytułową damą jest Ania Radwan. Reżyseruje Jerzy Antczak i jest to jego pierwszy film telewizyjny po powrocie do kraju.

Kazimierz Kutz skończył niedawno, dla telewizji, nagranie „Antygony w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego, w znakomitej, krakowskiej obsadzie — Dymna, Treła, Peszek...

To była morderczą pracą. Myślałam, że umrę na planie. Kutz powiedział „Aniu, ty masz zawsze u mnie ciężką szyćkę”. On potrafił tak grzebać w nas, aktorach, że zawsze coś nowego znajdzie.

Potwierdziła pani kiedyś: „Kilka razy walił mi się świat”. Co pomagało przetrwać, co kryje się za pani pogodą i optymizmem?

Kiedy umarł mój mąż, sądziłam, że nie mam po co żyć, a wkrótce po tym miałam okropny wypadek. I stało się coś dziwnego, zapomniałam o wszystkim, co się zdarzyło wcześniej, i tylko chciałam żyć, tak strasznie chciałam żyć... A potem groziło mi, że nie

będę nigdy chodzić, a więc życie na wózkach i renta w wieku dwudziestu sześciu lat. Pytałam się — dlaczego ja? Co ten Pan Bóg ode mnie chce, kopie mnie i podaje rękę? Ale w szpitalu, w sanatorium zetknęłam się z tyloma tragediami, nieszczęściami, kalectwami, a jednocześnie z tak wspaniałą postawą ludzi pokonujących własne słabości i ból, że zrozumiałam, iż walczyć trzeba. Zaciśniełam więc też zęby, ćwiczyłam miesiącami, i wygrałam. A gdy się coś takiego przeżyje, to sam fakt, że budząc się rano mam dwie ręce i nogi, już jest powodem do szczęścia, tak samo jako to, że mam zdrowe dziecko.

Teraz myślę, że wszystkie tragiczne przeżycia zamiast osłabić, wzmocniły mnie. Oczywiście, przeżywałam kryzysy, załamania, ale zawsze szybko biorę się w garść. I powiem pani szczerze, że największą siłę dał mi ten mój okrutny zawód. Nie wiem co by się ze mną stało, gdyby nie teatr. Czy mi ktoś umarł, czy przeżywałam tragedię to trzeba było wejść na scenę i grać. Nieraz bez troską idiotkę, śmiać się, śpiewać. I może to, iż musiałam się skoncentrować na grze, zapomnieć o wszystkim innym, ratowało mnie — może — w pewnym sensie — dawało mi chwilę wytchnienia?

Nie bez powodu mówi się, że zawód aktorski jest swoistą psychoterapią...

Teatr był dla mnie rzeczywiście gabinetem psychiatrycznym. A wie pani co mi jeszcze pomagało? To, że będąc aktorką nigdy nie czułam się człowiekiem samotnym. W teatrze pracujemy nieraz dniami i nocami, w takim napięciu i w takiej intymności, że stajemy się sobie ogromnie bliscy, choć poza sceną możemy się widywać bardzo rzadko. Ta bliskość, pewność, że jestem wśród przyjaciół, to właśnie dodawało mi zawsze sił. Teraz, ucząc w szkole teatralnej też pracuję na to, że na starość będę może miała przyjaciół wśród moich obecnych studentów.

Wykłada pani w szkole od trzech lat. Czego pani uczy i co mówi swoim studentom w tych niełatwych dla teatru czasach?

Wybrałam sobie prozę i uczę, że słowem można wyrazić wszystko. A wiem, czego im trzeba, bo pamiętam z czym się sama borykałam, do czego dochodziłam latami. Sądzę, że mogę im w tym naprawdę pomóc. A mówię im, że aktorstwo do zawód piękny i obrzydliwy, wspaniały i okrutny oraz to, że utalentowani i pracowici młodzi ludzie będą zawsze potrzebni.

Gra pani coraz więcej — teatr, film, telewizja, estrada — jak udaje się to wszystko pogodzić?

Gram rzeczywiście dużo, ale nie odmawiam, bo może to ostatni taki dobry okres, zwykle takie

powodzenie chodzi falami. Pewnie łatwiej być aktorką mając gośposię i willę z basenem, a ja mieszkam na strychu starej krakowskiej kamienicy i wszystko robię sama. A przede wszystkim mam syna, którego muszę utrzymać i być dla niego kimś. Michał uczy się w szkole muzycznej, zdał teraz pięknie do trzeciej klasy. Oczywiście, cały mój czas poza parcą jest tylko dla niego. Nie ma więc już mowy ani o życiu towarzyskim ani o jakichś rozrywkach. Kiedy wyjeżdżam mam jednak zawsze wyrzuty sumienia. Michał jest zresztą dobrym i wyrozumiałym dzieckiem. No i ma Krzysztofa, który też jest szczęściarzem, że dostał takie cudowne dziecko, nieprawdaz?

Pani obecny towarzysz życia jest reżyserem, to dobrze czy źle?

Czasem wolałabym mieć męża, który nie ma nic wspólnego z aktorstwem, zwłaszcza, kiedy przyjdzie zmęczona po próbie czy spektaklu, a ten znów nudzi o teatrze, bo akurat reżyseruje. Krzysztof zresztą skończył najpierw szkołę aktorską, krakowską, gdzieśmy się pierwszy raz spotkali. Minęło prawie ćwierć wieku i znów pojawił się w moim życiu. I jest. Bywa teraz okropnie biedny ze mną, bo stałam się kobietą wy-
magającą, ale i wybaczącą.

Maria Dąbrowska napisała kiedyś o swoich partnerach, że związki z nimi to były jej uniwersytety. Czy pani mogłaby tak powiedzieć o mężczyznach w swoim życiu?

Takim najprawdziwszym moim uniwersytetem, i to wielkim, był Wiesiek Dymny. Na pewno nie był nim mój drugi mąż. Swoją drogą z Wieskiem musieliśmy stanowić zabawną parę. Znajomi często śmiali się opowiadając jak chodziliśmy po Krakowie, otóż najpierw szła piękna, szczuplutka, rozpromieniona dziewczyna, a za nią ponury potwór, który tylko patrzył komu by tu dołożyć jak spojrzy na tę jego Anię. To był niezwykle człowiek, nieprawdopodobnie trudny, ale kiedy go spotkałam miałam zaledwie osiemnaście lat, chłonełam więc to, czego mnie uczył, i wszystko pamiętam. Jest dla mnie największym autorytetem, choć nie żyje już tyle lat, zmarł w 1978 roku. Czy pani wie, że ja do tej pory nie zrobiłam niczego, że bym sobie nie pomyślała, co by Wiesiek powiedział? To był najuczciwszy człowiek jakiego znałam, wobec siebie przede wszystkim, aż do okrucieństwa.

Co by było gdyby spotkała go pani teraz, jako kobieta dojrzała?

Pewnie nawet bym na niego nie spojrzała. Pewnie też nie miałabym już siły, żeby z nim być. Choć czy ja wiem? Jak człowiek kocha to ma siły na wszystko.

Rozmawiała

DANUTA WILHELM-MACHALICA